

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1871.

Tom drugi.

WARSZAWA.

Skład Główny w Księgarni GEBETHNERA i WOLFFA.

1871.





De. II. 1.

Дозволено Цензурою.

Варшава 23 Марта 1870 года.

K. 35/46.

CZŁOWIEK BEZ JUTRA.

POWIEŚĆ

PRZEZ

Jana Zacharyasiewicza.

I.

Miasto-ruina.

Nad brzegiem dosyć znacznej rzeki, która z podgórza wypływała tutaj w dolinę aż po Wisłę sięgającą, rozsiadło się miasto w najpiękniejszych nadziejach przyszłego swego bogactwa. Zaraz z początku zajęło spory kawał ziemi, w przypuszczeniu, że z czasem wewnętrzne luki zapełni i zabuduje! Plan taki był dobry, potrzeba było tylko czasu i sprzyjających okoliczności.

Okoliczności jednak nie dopisały, a ze zmianami czasu przybrało miasto dziwną fizygnomię.

Najstarsze domy tego miasta stały prawie wszystkie frontem do Wisły, która tam gdzieś daleko, daleko według podań flisaków miała w poprzek przerzynać urodzajną dolinę. Dlaczego miasto obrało tę niewygodną dla siebie pozycyą, o tém rozmaicie w mieście opowiadano.

Jedno podanie opierało się na gruncie tradycyi religijnej. Pewien bogobojny ślusarz który każdego poniedziałku był trzeźwym, widział raz we śnie, jak św. Piotr ogromnym kluczem niebo dla jego sąsiada, który właśnie był umarł

otwierał. Z tym sąsiadem był ślusarz w ciągłej wojnie. Sąsiad bowiem który był prostym kowalem, odbierał mu często zarobek, robiąc klucze i zamki. Przyszło nawet do procesu w cechu, który na kowala wydał wyrok potępiający. Oparty na tym wyroku bogobojny ślusarz tak nękał swego sąsiada, że tenże z rozpaczyny rozpił się, zbiędniał a wreszcie ustąpił się z drogi człowiekowi, który miał za sobą wyrok cechu, trzech pacholców wójta i widoczną opiekę Opatrzności Boskiej, bo mu się bardzo dobrze działo.

Szanowny cech ślusarski, wójt miasta i bogobojny ślusarz byli przekonani, że kowal za fuszerkę ślusarską prostą drogą do piekła pójdzie. Tymczasem sen ślusarza inaczej tę sprawę wyświecił. Przekonany tym snem ślusarz, że kowal robiący kłódki i zamki wcale na piekło i prześladowanie wójta nie zasłużył, poczuł wielką skruchę za swoje z sąsiadem postępowanie, sprzedał wszystko co miał i w miejscu gdzie widział we śnie drzwi do nieba, wystawił kościółek pod wezwaniem św. Piotra, któremu sam własną ręką na frontowej ścianie olbrzymie klucze z najlepszego żelaza nader misternie wypiłował.

Ubogie miasteczko w początkach swoich nie wiele myślało o drzwiach do nieba, bo często mawiali do niego kapłani, że ubodzy najłatwiej dostają się do królestwa Bożego. Gdy jednak później pracą i przemysłem wzbogacać się zaczęło, a pasterze jego znowu prawić mu zaczęli, jak trudno jest bogaczom dostać się do nieba, przypomnieli sobie bogatsi mieszczanie o śnie ślusarza i postanowili nowe domy swoje stawiać frontem do tej strony, gdzie według snu ślusarza miały się znajdować podwoje niebieskie. Była to niejako pozycja strategiczna, która ulatwiającej duszy bogacza miała ułatwić prostą drogę do nieba.

Inni tłumaczyli znowu inaczej ten niekorzystny front miasta. Tam za Wisłą, ku północy miała się gdzieś wznosić stolica kraju, której wszystkich miast i miasteczek należał się hołd winny. Miasta więc zwracały się twarzą ku niej, oznaczając tém swój szacunek i należne posłuszeństwo swojej królowej.

Jowialni mieszkańcy miasta opowiadali znowu, iż owe domy były własnością kupców, którzy towary swoje do Gdańska spławiali. Domy więc te były dlatego tak do

północy stawiane aby żony nieobecnych kupców mogły w tę stronę patrzeć, z której mężowie wracali z pełnemi trzosami holenderskiego złota.

W tychto bowiem czasach wzrastało miasto widocznie. Obfite plony ziemi, jako to pszenicę, żyto, cebulę, orzechy i przedziwo ładowano tutaj na obszerne galary, które odchodziły ztąd daleko, aż gdzieś na morze Bałtyckie.

Później jednak zmieniły się czasy. Patrzący z okien mieszkańcy nie widzieli już ani podwoi nieba, ani kupców swoich wracających z trzosami złota holenderskiego. Pszenica, cebula i orzechy nie mogły już prosto płynąć do Gdańska, a powoli i galary zaczęły osiadać na mieliznach.

Wprawdzie mówili niektórzy, że to złe dlatego się stało, iż mieszkańcy miasta zapomnieli o drzwiach do nieba, a mieszkańcy znowu utrzymywali, że niebo o nich zapomniało!

Bądź co bądź miasto coraz więcej biędniało. Powiedziano mu, że nowa stolica państwa jest gdzieś nad Dunajem i w tamtą stronę kazano się wykręcać nowym domom. Z niechęcią, jak to widać po ich dachach pokrzywionych, obracały się nowe kamienice ku zachodowi. Nie były to już budowy dawnych czasów, ale była to po prostu robota tandetna; nie liczone przy téj robocie na wieki, ale na lata: wszystko tam było tymczasowe, jakby jakichś innych czasów wyczekiwać miało.

Mieszczanie rządzili się jak mogli, aby oprzeć się burzom napierającym. Wybierano z pomiędzy siebie burmistrza, który najczęściej żywém słowem urząd swój sprawiał. Musiał to być człowiek poważny i cnotliwy, który pracą i cnotą był przykładem całemu miastu. Każdy słuchał go, bo on miał za sobą głosy wszystkich mieszczan.

W ostatnich czasach zmienił się porządek miasta.

Do miasta przysłano ze stolicy państwa jakiegoś Niemczyka, który prócz skórzanego tłumoka nic w mieście nie miał, i kazano mu rządzić miastem.

Nowy burmistrz, jak go mieszkańcy nazwali, zaczął od tego, że po rogach ulic ponapisywał jakieś słowa niemieckie, na które mieszkańcy patrzali jak na Koran turecki.

Rozumie się, że rządy nowego burmistrza nie przyniosły miastu nic dobrego. Handel nie ożywił się, kordon nie otworzył, a podwoje nieba były jakby zamurowane!

Dawni mieszczenie podupadli i cofnęli się na przedmieścia. Domy ich wynajęte czynszownikom wyglądały smutno jak wszystko co upada. Zdawało się jakby duch zniszczenia przeleciał po nad biednym miastem i dotknął je swoim skrzydłem wszechmocnym...

I dzisiaj widok tego miasta jest dziwnie poruszający.

Wszystkie prawie domy są założone na większą skalę. Rozmiary fundamentów są kolosalne, piwnice obszerne, ale na tych fundamentach stała zaledwie połowa przyszłego budynku.

I ta połowa nie doszła do zamierzonej wysokości. Załedwie wysunęła się do stropu pierwszego piętra, a ztamtąd idąc wyżej udawała tylko okna drugiego piętra. To samo działo się i wewnątrz. Zamiast schodów rzucono tylko tymczasowe deski, które jak klawisze ugiwały się pod nogami przechodzących. Powąły w sieniach najczęściej nie było. Zaraz z dołu można było przez dziurawy dach obserwować księżyc, gwiazdy i cały zodiak niebieski.

Mury zewnętrzne domów były czerwone, wapnem nie obrzucone. Po części tłumaczono to zwyczajem wówczas przyjętym, że dom murowany należycie przed otynkowaniem wyschnąć musi, a po części stało się to z braku funduszków, jakimi nowy właściciel rozporządzał.

Wszystko to wskazywało na jakąś katastrofę, która nagle całe miasto w jego rozwoju zatrzymała. To co zostało, było niedokończone, aby świadczyło o dawnych czasach, a dzisiejsze czasy, które nie budowały, zamieniły powoli to wszystko w jedną kupę ziemi!

Kiedy bowiem dawnymi czasy miasto to tutaj się rozsiadło, był tu główny szlak ruchu społeczeństwa i handlu. Później zmieniły się arterye społeczeństwa. Cały ruch i handel musiał szukać innych dróg, a biedne zapomniane miasto zostało tymczasem na uboczu!

I dziwnie zbiędniało i postarzało się. Rzemieślnicy żyli tylko skromną pracą, jakiej dostarczały im wsie okoliczne. O przemyśle, o wyrobach na sprzedaż hurtowną

nikt tutaj nic nie wiedział. Rzemieślnik był szczęśliwy, jeżeli tyle mógł grosza uzbierać, że na przedmieściu kupił sobie ogród, który już go żywił do końca życia. Ztąd też poszło, że każdy rzemieślnik był także rolnikiem lub ogrodnikiem, a rzemiosło prowadził tylko wyjątkowo, gdy konieczna była potrzeba. Dlatego też rzemiosła podupadły, a zagon ziemi zaledwie chronił od głodu.

W takim to miasteczku zatrzymamy się na chwilę i zapoznamy się z jego mieszkańcami.

II.

Zabłąkane nazwisko.

Miasto to, niegdyś dosyć ludne, miało dzisiaj zaledwie pięć do siedmiu tysięcy mieszkańców, którzy w spokojnych dniach niknęli prawie wśród rozległych murów i obszernych ogrodów. Tylko w dnie targowe a osobliwie w czasie jarmarku ożywiało się miasto i przybierało postać nadzwyczajną. Lud okoliczny miał w tych dniach tutaj schadzkę. Jedni przychodzili aby coś sprzedać, drudzy kupowali, a inni przybywali znowu dla zwyczaju, aby się z sąsiadami widzieć.

Z dni tych targowych i jarmarcznych nie miało miasto prawie żadnego zysku. Prócz szynków i gospód, prócz kilku handlów żydowskich, dla reszty mieszkańców był targ i jarmark rzeczą zupełnie obojętną. Wrodzona jakaś apatya do wszelkiego żywszego ruchu, nie pozwalała im korzystać z tych licznych nawiedzin ludu okolicznego. Lud tylko znosił tutaj w te dnie swoje towary i lud tylko je kupował między sobą. Mieszczanin najczęściej zamykał się w swojej izdebce, jeśli nie był rzeźnikiem lub piekarzem, i czekał niecierpliwie wieczora, który mu miał wrócić spokój upragniony. Nawet szewcy miasteczka, których wyroby najwięcej między ludem mogły mieć odbytu, zniechęcili się do swego rzemiosła; ubiegli ich bowiem szewcy innego miasta, którzy tutaj podczas jarmarków hurtowny handel butami prowadzili.

Zrazu ten szewski przemysł sąsiedniego miasta rozgrzewał trochę krew miejscowym szewcom. Wywiązały się ztąd burdy i bitki, w których o przywileje miejskie z prawdziwem bohaterstwem walczono. Z postępem jednak cywilizacyi rządowej musiały te bitki ustać, bo nowy rządowy burmistrz obwołał zasady wolnego handlu, osobliwie w dni jarmarczne. Zwolennicy systemu prohibicyjnego widzieli w tém zamach na miasto, a nie mając siły do oporu, cofnęli się do swoich izdebek i ogrodów warzywnych, połamawszy kopyta i prawidła. Stanął nawet między nimi spisek, któremu naczelnik rządowy skutecznie zapobiedz nie mógł, w skutek którego nie wolno było żadnemu miejskiemu szewcowi naprawiać butów zagranicznych.

Inni rzemieślnicy miasta, jakoto: krawcy, stolarze i kowale, nie mieli także z jarmarków żadnych korzyści, wyjąwszy jeśli chłop koło złamał. Narzędzia rolnicze wyrabiali artyści wiejscy i gotowe przywozili na jarmark, które lud po tańszych cenach chciwie rozkupywał.

Widoczną było rzeczą, że społeczeństwo tego miasta, w innych czasach i na innych warunkach zorganizowane, straciło dzisiaj wiążące je ogniwa i było skazane na powolną zatrąę.

Część mieszkańców składali ludzie dziwnego rodzaju: ciekawą jest rzeczą bliżej ich poznać.

Ludzie ci mieli tylko domy i nic więcej. Nie umieli żadnego rzemiosła, a nawet uważali to za coś poniżającego. Domów tych nie dorobili się, ale wzięli je w spadku po rodzicach. Rodzice również nic nie robili, ale zkąd do tych domów przyszli, trudno było wiedzieć. Najczęściej odziedziczali je także, a dziedzictwo to gubiło się w czasach jak najodleglejszych.

Mieli oni własne swoje genealogie, podobne do rodowodów szlachty i wszyscy w mieście znali je na pamięć. Genealogie te były przeplatane różnemi powieściami, które czasem były nader dowcipne. Byli to niejako dawni senatorowie miasta. Z biegiem czasu jednak zbiednieli, bo bez pracy przy mnożącój się rodzinie niepodobna było zatrzymać dawne, w hierarchii miejskiej świetne stanowisko.

Ponieważ dom jeden był całym majątkiem rodziny, to wydarzały się wypadki, gdzie jedna ściana miała pięciu właścicieli, jeden dach dwudziestu dziedziców, którzy najczęściej w braku innego zatrudnienia prowadzili z sobą processy o krokwie dachu i cegły w murach.

Przy takim tradycyjnym obyczaju arystokracji kamiennej, wzięli w mieście nad nimi górę rzemieślnicy, którzy coś zarabiali, a z czasem nawet wywinęli im z rąk berło rządów.

W obec takiego bezprawia, które koniec świata zapowiadało, cofnęło się rodowodowe mieszczaństwo w ubogie izdebki swoje jak staro-francuzka szlachta w hotele przedmieścia St. Honorec.

Próżniacza ta część mieszkańców dostarczała najwięcej czarnych barw do obrazu miasteczka. Ubóstwo i nędza była między nimi okropna. Niczem w obec takiej nędzy jest nędza żebraka. Żebrak może wystawić rękę, może przyjąć jałmużnę, nie potrzebuje szat całych ani do życia lepszego komfortu. Tym zaś pycha nie pozwala żebrnąć, fałszywy wstyd nie każe im robić, a opinia publiczna wymaga od nich pewnej ostentacji lepszego bytu. Aby więc tej opinii zadość uczynić, głodzi się i umartwia ciało w sposób najokropniejszy, o jakim prosty żebrak nie ma wyobrażenia!

Domy tej podupadłej arystokracji miejskiej poznać zaraz na pierwszy rzut oka. Wszystko tam jest ruiną. Dach załamany i podziurawiony, schody spróchniałe, okna wybite i papierem zaklejone, zewnętrzne ściany jesienną szarugą obite i zczerniałe...

Między takimi domami odznaczał się lepszym tynkiem i staranniejszą schludnością narożny dom najgłówniejszej ulicy miasta.

Dom ten był jednopiętrowy i nie udawał wcale drugiego piętra ślepym murem. Miał wprawdzie tylko cztery okna na froncie, ale za to miał na tyle ogród dosyć obszerny.

Nad dolnemi oknami tego domu była przybita długa deska na czerwono pomalowana, na której złotemi literami błyszczał napis: „Marcin Tarło.”

Znającemu dzieje ojczyzny mógł ten napis natrącić różne myśli. Zkąd w małej mieścinie wzięło się to nazwisko,

które często spotykamy na kartach naszej przeszłości?.. Czyż tu było siedlisko tój szlacheckiej rodziny? Cóż znaczy ta tablica?

Jeszcze większą konfuzyą sprawia nam widok okna pod tą tablicą. W oknie tém widać olbrzymi zegar, którego również olbrzymie wahadło poważnie każdym ruchem uzupełnia powyższy napis tablicy, że tutaj mieszka zegarmistrz!..

Jakto?.. Marcin Tarło zegarmistrzem?.. Nie, to być nie może. To czysta kalumnia!

A jednak tak jest w istocie! Hrabia Alfred, który często tędy przejeżdża, czyta zawsze z pewnem oburzeniem tę tablicę, ale tablica nie przestaje przeto wygłaszać, że zegarmistrz tu zamieszkujący nazywa się: „Marcin Tarło,” bo tak nawet zapisany jest pradziad jego w księgach miejskich!

Zkąd jednak wzięło się w mieście to nazwisko, trudno dociec. Szlachecka familia Tarłów, której członkowie na krzesłach senatorskich Rzeczypospolitej zasiadywali, wymarła dawno i trudno dzisiaj o jakiego członka żyjącego z tego szczepu. A gdyby nawet się zabłąkał, czyż można twierdzić, aby szlachecką szablę zamienił na pilnik zegarmistrzowski i w biednym miasteczku pędził żywot mieszczański? Czyż podobna, aby wyrzekł się pargaminów z pieczęciami królewskimi i zamiast kontusza i lam złotych wziął na siebie falendysz miejskiego rzemieślnika?

Nie, to demokratyzm miejski zrobił sobie igraszkę z nazwiska karmazynów i chudego mieszczanina odział w szerokie nazwisko magnata polskiego!..

Niepodobna więc spierać się z mieszczaninem o jego nazwisko, które mu pradziad w sposób prawowity zostawił. Nazywał się Tarło i fakt ten zostanie faktem niezbitym!

Jakkolwiek to nazwisko dziwnym sposobem zabłąkało się do biednego miasta, niepodobna jednak odmówić mu pewnego wpływu, jaki ono wywarło w społeczeństwie miejskiem. Gdy się bowiem cofniemy o lat pięćdziesiąt w dzieje miasta, obaczymy, że wielu następujących po sobie burmistrzów wybieralnych podpisywało się tém samém nazwiskiem. A byli to prawie zawsze najbliżsi przodkowie Marcina Tarły zegarmistrza i tegoż samego, co i on, kunsztu.

Należy więc tutaj dobrze zastanowić się nad tém, co właściwie dało powód wyniesienia się zegarmistrzów do burmistrzostwa? Czy to był urok nazwiska w dziejach Rzeczypospolitej mającego rozgłos niepospolity? Czy téż samo nazwisko to karmazyna wszczepiło w pospolitą duszę mieszczańską chciwość honorów i zaszczytów?

Badacz dzielności krwi i spadkobierstwa cnót i talentów miałby tutaj szerokie pole do badań swoich. My zostawiamy to na boku, bo zegarmistrz Marcin Tarło o specjalnej historii znakomitych rodów swojskich nic nie wiedział, a tém samém ich duchem nie mógł się przejąć.

Mimo to trudno jednak odmówić było zegarmistrzowi pewnych przymiotów, które go od innych mieszczan odróżniały. Ostatni wybieralny burmistrz miasta uderzał na pierwszy rzut oka całą swoją postacią. Nie był wprawdzie wysokiego wzrostu, nie był nawet barczysty ani tłusty, co u mieszczan bardzo wiele znaczyło, a przecież wybrano go prawie jednogłośnie na burmistrza!

Marcin Tarło miał najprzód za sobą tradycję burmistrzostwa w rodzie, miał dom najlepiej prawie utrzymywany, a co największa, umiał na zgromadzeniach publicznych wyszukany stylem przemawiać do swoich ziomków, czém nawet imponował niezbędnej w każdym organizmie opozycji, której jak wiadomo, nikt we frazeologii wyrównać nie może!

Zresztą mieszczanie urząd burmistrza wyobrażali sobie w sposób bardzo prosty. Każde większe społeczeństwo przedstawiało się im jako duży zegar, w którym obraca się mnóstwo kółek, jedno drugie wspierających. Przy komplikacji téj maszyny, przy niesforności pojedynczych trybów, potrzeba było nielada głowy, ażeby ten żywy zegar nie stanął, lub fałszywie godzin nie pokazywał.

Któż jednak mógł być zdolniejszym do prowadzenia téj zegarowej maszyny jeżeli nie zegarmistrz, który już w sekretach kunsztu swego czerpał naukę jak sobie z niesfornemi trybami radzić, gdzie nałożyć a gdzie przypiąć trzeba, aby maszyna nie ustała?

Wprawdzie piekarz, przewodzca opozycji, utrzymywał złośliwie, że kiedy miasto ma być podobne do zegaru, to burmistrz jest owym młotkiem, który bije! Ale rozsądniejsza

część mieszkańców nie przyjęła tego złośliwego orzeczenia najpierwszej w mieście władzy, i niespokojnemu piekarzowi dała surowe napomnienie. Mimo to jednak był piekarz oponentem każdego burmistrza.

Aby oddać sprawiedliwość zupełną szanownemu mieszkaństwu, które zegarmistrza na przewodzcę sobie obrało, trzeba jeszcze wiedzieć, że zegarmistrz z owego czasu nie był takim zegarmistrzem jacy są dzisiaj. Był on bowiem nie tylko zegarmistrzem dziedzicznym, ale zegarmistrzem starój daty.

Zegarmistrz starój daty różni się od zegarmistrza dzisiejszego o całe niebo!

Dawniej zegary były maszyną skomplikowaną. W oczach się ćmiło, tyle było tam kółek, trybów i zębów. Była to istna astronomia, bo prędzej może policzyłyby gwiazdy na niebie, niżeli tam wszystkie kółka!

Prócz tego każdy taki zegar był oryginalnym dziełem jednego mistrza. Jeżeli w takim zegarze choćby tylko jedno kółko się popsuło, to nie można go było z fabryki podług numeru zapisać, ale zegarmistrz musiał sam je robić. Dlatego zegarmistrz z owych czasów posiadał nie tylko głęboką naukę swego kunsztu, ale miał także wielkie zasoby różnorodnych narzędzi, o których dzisiejszy zegarmistrz nie ma ani wyobrażenia!

Przy rozbieraniu starego zegaru następczała się również zegarmistrzowi sposobność ćwiczenia się w odgadywaniu ukrytych planów swego antecessora tak samo jak przy grze w szachy. Musiał głęboko zastanawiać się nad tém, do czego to lub owo kółko służy, dlaczego jedno jest mniejsze, drugie większe, a to znowu tylko z trzema po jednej stronie zębami.

Tym sposobem ćwiczył się zegarmistrz w różnych kombinacjach i ztąd też poszło, że ludzie tego zawodu wymyślili różne arcydzieła, na które teraz nie stać dzisiejsze pokolenie!

Dzisiejszy zegarmistrz spadł nader nisko i zeszedł zupełnie do roli prostego rzemieślnika. Maszyny genewskie lub londyńskie pracują za niego, maszynerya jest nader prosta, a on potrzebuje tylko ją złożyć i gdzie niegdzie usterki

przypiłować. To też typy dawnych zegarmistrzów zaginęły do szczytu, a natomiast pojawiły się wojska prostych fabrykantów, którym tylko o zarobek a nie o sławę chodzi.

Ostatnim zegarmistrzem w swoim rodzaju był Marcin Tarło, ostatni również burmistrz miasta wyszły z walnych wyborów. Po nim wszyscy zegarmistrzowie niemniej też i burmistrzowie byli prości wyrobownicy!

O burmistrzostwie Marcina Tarły nie wiele jest do powiedzenia, bo „kroniki krajowe” nie istniały wtedy a tém samém nie mogły przekazać jego czynów pamięci potomnych. Tyle tylko wiadomém było, że każdy mieszczanin mile wspominał o jego rządach a najmiliej ci, których on sam za niektóre małe wykroczenia do kałauzu własną ręką wtrącał.

Piekarz, przewodzca każdorazowej opozycji, rozgłaszał nawet pod sekretem, że był burmistrz po nastaniu w mieście rządów niemieckich przeszedł także do opozycji, co stwierdzał faktem następującym:

Po złożeniu berła burmistrzowego Marcin Tarło cofnął się w zacisze domowe i z całym zapalem wrócił do kunsztu, który umiłował zaraz po sprawach miejskich przedewszystkiém!

Całego jednak czasu nie poświęcał pracy czysto rzemieślniczej. Miał do niej czeladnika i dwóch chłopców. Sam zaś bujał w sferach wyższego zegarmistrzostwa i prze-myślał nad arcydziełem, któreby mogło mu zapewnić nieśmiertelną sławę u potomnych, a przynajmniej jaką taką pamięć.

W owym bowiem czasie ludzie wierzyli jeszcze w obowiązki zostawienia coś po sobie potomnym. Jedni zakładali osady, drudzy budowali domy i kościoły, a inni szczepili i sadzili drzewa owocowe. Każdy jednak chciał po sobie przynajmniej pamięć uczciwego człowieka zostawić, co, osobliwie u mieszczan, równało się dyplomom z królewskimi pieczęciami.

Otóż Marcin Tarło chciał ze swego kunsztu coś także po sobie zostawić, aby w godzinę śmierci powiedzieć o sobie: *Non omnis moriar!*

Długo czas myślał i rachował. Wreszcie wymyślił i własną ręką wypiłował i złożył duży zegar.

Zegar ten był szczególnego rodzaju. Z daleka widziany nie różnił się w niczem od zwykłego wahadłowego zegaru; z bliska jednak można było poznać, że właściwie składał się z dwunastu małych zegarków.

Każda godzina na cyferblacie stanowiła pewną wypukłość, w której mieścił się mały osobny zegarek! Prócz tego i wahadło miało na dole osobny zegar, co razem zliczywszy było zegarów czternaście.

Zmudnej téj pracy dokonał w przeciągu dwóch lat i z pewnym tryumfem w sam dzień Przemienienia Pańskiego wystawił za okno, aby ziomkom swoim dać świadectwo swojej pracy i swego talentu.

Mieszczanie tłumnie zebrali się pod oknem, zachwycali arcydziełem swego dawnego burmistrza i podziwiali cały mechanizm z tém uprzedzeniem, że drugiego w całym świecie nie ma!

Przy czternastu jednak odosobnionych organizmach niepodobna było, aby wszystkie zegarki pokazywały jedną i tę samą godzinę. Osobliwie zegar, umieszczony w dolnej kuli wahadła, turbowany był zawsze pewnym ruchem nienaturalnym, co mu również w jego własnych ruchach przeszkadzało. A to było powodem, że raz szedł za prędko, drugi raz za powoli, stosownie do przeszkód, które zwalczać musiał; a co najgorsza, że nie dał się regulować, i żadnych stałych praw nie uznawał.

Otóż niezgoda ta pojedynczych organizmów w powszechnym zegarze dała powód piekarzowi, że utwór ten Marcina Tarły uważał za dzieło tendencyjne, wymierzone przeciw nowemu burmistrzowi.

Miał to być żywy obraz niefortunnego systemu rządowego nowego ministra, który całe państwo, składające się z różnych osobnych organizmów chciał urządzić według jednego strychniaka!

Interpretacya ta piekarza znalazła odgłos w całym mieście. Jaki taki dorzucał swoje uwagi, rozszerzając coraz więcej pierwotną myśl piekarza. A byli nawet i tacy, którzy w najwięcej dziwaczającym zegarze wahadłowym widzieli obraz nowego burmistrza, który nigdy nie wiedział, kiedy była prawdziwa godzina.

Głosy te rozchodziły się coraz więcej po mieście i zwróciły wreszcie uwagę nowój władzy.

Naczelnik miasta sam stanął pewnego dnia pod oknem zegarmistrza, sprawdził fakt karygodny i za pomocą trzech pachółków kazał wyjąć zegar z za okna i do urzędu jako *corpus delicti* odstawić, motywując swoje postępowanie paragrafem kodeksu, gdzie jest mowa o zamachu na całość państwa!

Co się stało ztém arcydziełem byłego burmistrza o tём milczy kronika miejscowa. Sprawy tego rodzaju ciągnęły się zazwyczaj bardzo długo. Tyle tylko wiadomo, że Marcin Tarło wcale do kałauzu nie poszedł, tylko prawdopodobnie z wolnej nogi na zarzuty o zamach na państwo odpowiedział.

Zegar jednak nie pokazał się więcej w oknie. Gdzie się podział, nikt o tём nie wiedział. Zdaje się, że między nowym a byłym burmistrzem miasta stanęła prawdopodobnie jakaś umowa prywatna, w skutek której ta gorsząca sprawa porządku publicznego pocichu załatwioną została.

W oczach opozycyi zyskał od tego czasu były burmistrz bardzo wiele. Piekarz często z nim rozmawiał, a nawet szlachta okoliczna znosiła do niego wszystkie stare graty do naprawy, aby tym sposobem dać mu swoją sympatyę w walce z nowym burmistrzem do poznania.

Marcin Tarło nie uważał jednak roli swojej za skończoną. Każdy inny mógłby zadowolić się odniesionemi laurem na polu sprawy publicznej, tём bardziej, że te laury czy raczej ciernie przynosiły mu dosyć znaczny zarobek. Dowodziło to, że był charakteru niepospolitego.

Zaledwie bowiem strątę swojego arcydzieła potrosze przeboleał, do czego również w tym czasie i strata ukochanej małżonki się przyczyniła, postanowił po roku żałoby powetować poniesione straty. W tym celu wstąpił w powtórne związki małżeńskie i rozpoczął na nowo myśleć o nowém arcydziele sztuki zegarmistrzowskiej, któraby dawniejszy zegar daleko przewyższała.

— Powiedz mi najprzód dobrodzieju, czém to się dzieje, że na świecie jest taki ruch regularny od wieków. Jeden dzień świta i zachodzi, drugi powstaje, za drugim trzeci, czwarty i piąty!

— We wszystkim tém jest wola Boża, panie Marcinie,—odpowiedział proboszcz.

— Wola Boża!.. Przy każdym ludzkim dziele jest także wola człowieka, ale woli téj musiał człowiek nadać pewną podstawę, która się opiera o rzeczywiste siły. I ja gdy chcę zrobić zegarek, nie dosyć jest mojej woli, ale muszę obliczyć i wypilować kółka z mosiądzu, i dać im wewnątrz sprężynę. Świat zaś kręci się i rusza ustawicznie, a przecież żadnej w nim nie widać sprężyny, któraby nakręcać trzeba. Musi więc istnieć jakaś siła, jakieś wyrachowanie, które ten wieczny ruch sprowadza!

— Widzę mości Marcinie,—odpowiedział proboszcz,— że przemyślasz nad rzeczą niepodobną. Lata ci to po głowie, co już niejednemu przed tobą dokuczyło. Chcesz po prostu zrobić tak zwane „*perpetuum mobile*,” któreby się wiecznie ruszało bez żadnej siły widocznie do tego użytéj! Ale to być nie może!

— To być nie może?—wykrzyknął zegarmistrz i zarumienił się jakby go na gorącym uczynku schwytano—to być nie może? Dlaczego to być nie może? Wszak słyszałem o pewnym zegarmistrzu...

— Wszystko to bajki, panie Marcinie! *Perpetuum mobile* jest tylko mrzonką a niczém więcéj. Sama nauka sprzeciwia się temu. W świecie fizycznym jedna siła zużywa drugą i póty tylko jest ruch, póki jéj nie zużyje. Potém następuje spokój. Jeżeli zegara nie nakręcisz, to stanie i żadne kółko się nie ruszy!

Zegarmistrz uśmiechnął się z politowaniem nad człowiekiem nauki i przytoczył proboszczowi kilka przypadków o nadzwyczajnych wynalazkach, jakie prości ludzie poczynić mieli.

Daremnie proboszcz argumentował nauką i doświadczeniem, zegarmistrz widocznie słowom jego nie wierzył. Bez żadnych wyższych nauk był tego przekonania, że samą my-

ślą można przyjść do rezultatów, do jakich nauka nawet nie doprowadza. W tym względzie trudna była z nim rozprawa.

— Nawet widzisz kochany panie Marcinie, — mówił proboszcz w zapale, — nawet i ten świat, który tak podziwiasz nie jest wieczny, jak sobie wyobrażasz. Pan Bóg nawet nie stworzył tego, co ty stworzyć usiłujesz! Świat, według słów Pisma Świętego, będzie miał koniec jak wszystko co doczesne. Więc między światem a twoim zegarem jest tylko ta różnica, że świat nakręcił Pan Bóg raz na kilkanaście wieków, a twoje zegarki co dzień albo co tydzień się nakręcają!.. Tylko Bóg jest wiecznym!

Tarło posmutniał po tych słowach. Nie długo jednak trwał ten smutek. Człowiek nieugięty w swoich zamysłach nie tak łatwo się poddaje. I zegarmistrz nie poddał się. Z uśmiechem rzekł do proboszcza:

— Ja tam na słowa z szanownym dobrodziejem mierzyć się nie potrafię. Daję jednak słowo honoru, słowo pocziwego mieszczanina, że nim miesiąc dwa razy w pełni zajdzie, przyjdę tutaj z moim nowym wymysłem, który dobrodziej „*perpetuum mobile*” nazywasz! Tak mi dopomóż Panie Boże!

Od tej rozmowy z proboszczem jeszcze bardziej odosobnił się zegarmistrz od ludzi. Po całych dniach i nocach przesadywał w swoim warsztacie pomiędzy swemi tajemniczymi narzędziami.

Razu jednego schwytał go piekarz na gorącym uczynku. Powracając późną nocą do domu, obaczył w warsztacie zegarmistrza światło przez szparę w okiennicy. Przyłożył do tej szpary oko i widział jak zegarmistrz zamyślony siedział przed kółkiem mosiężnym, które się długo obracało.

Kółko to było grube i mogło ważyć kilka funtów. Wkoło zamiast zębów miało klapy, które się w ciągu ruchu same odmykały i zamykały. Rozumić się, że wymysł taki przyczyniał się do utrzymywania ruchu w sposób bardzo dowcipny. Klapy bowiem ruchome przez swoją ciężkość otwierały się, gdy kółko na dół dążyło a zamykały się natomiast u góry: tym sposobem zmieniał się ustawicznie w ruchu obłok koła, a tem samém i punkt ciężkości, do którego ruch dążył.

Taki przyrząd utrzymywał w ruch puszczone koło dosyć długo w tymże ruchu, a nawet zdawało się, że nigdy kręcić się nie przestanie. Po niejakiem jednak czasie ustawał ruch wszelki, ale Tarło nie brał tego za konieczność fizyczną każdego kółka, ale po prostu widział w tém tylko niedokładność swojej roboty i wyrachowania: był przekonany, że do celu dojść musi.

Piekarz widział go tylko zamyślonego nad tém kółkiem, ale coby te kółko oznaczało, o tém nie wiedział. Przypuszczał jak zawsze pewną polityczną tendencję téj robocie byłego burmistrza, któremu, jak mniemał, nowe rządy dzisiejszego naczelnika w nocy spać nie dawały.

I znowu po mieście rozeszły się dziwaczne wieści o nowych robotach zegarmistrza, a najbliżsi przyjaciele piekarza oczekiwali z dnia na dzień niecierpliwie tajemniczego dzieła w oknie, w którym niegdyś takiego hałasu narobił ów zegar o czterestu osobnych organizmach.

Jakkolwiek wieści te tylko pomiędzy przyjaciółmi krążyły i do tego pocichu do ucha były szeptane, władza miejscowa dowiedziała się jednak o nich i poczuła się do obowiązku wejść do domu zegarmistrza w nocy z trzema latarkami, aby go *in flagranti* pochwycić.

I rzeczywiście pochwycono Marcina Tarłę na gorącym uczynku.

Była to właśnie północ. W pracowni zegarmistrza świeciła się mała lampka. Na stole stał aparat z owém kółkiem nieszczęsném, a przed niém siedział jak zwykle mistrz głęboko zamyślony.

Kółko puszczone w ruch i należycie oliwą napuszczone obracało się jakby na nieszczęście tak gładko i długo jak nigdy! Zegarmistrz był zachwycony. Ktokolwiek znał człowieka z pewną manią do czegoś, ten łatwo sobie wyobrazi, w jakim stopniu ekstazy był biedny zegarmistrz, gdy się widział już blizkim celu najgorętszych swoich pragnień. Gdyby mu kto strzelał nad uszami, nieby w téj chwili nie słyszał!

Kółko kręciło się już cały kwadrans i minut kilka. Ruch jego był jeszcze równy i szybki. Nie widać było na niém żadnego zmęczenia. Jasne punkta, które pochodziły od

odbicia światła, stały jeszcze prawie nieruchomie w jednym i tém samym miejscu, co oznaczało, że się ruch nie zmniejsza.

Serce było zegarmistrzowi coraz gwałtowniej. Oczy jego wpiły się w ruchome kółko, uszy chwyciły szelest, który ruch sprawiał, a który był dotąd jednostajny i zupełnie równy...

Wtém nagle zakołatało do drzwi: trzy latarki zabłysły u progu.

— Otworzyć! — wołał głos pachołka, — który dawniej był pachołkiem u zegarmistrza.

Gdyby zegarmistrz miał w téj chwili wszystkie zmysły do swego rozporządzenia, mógłby wiele medytacyi odbyć nad znikomością władzy ludzkiej.

Ten sam pachołek, który za jego burmistrzostwa z odkrytą głową, przed nim stawał, wołał dzisiaj głosem rozkazującym: Otworzyć! Natychmiast otworzyć, bo drzwi rozbiję!

Również mógłby długo medytować zegarmistrz nad charakterem ludzi publicznych, do których oczywiście ów pachołek należał, a którzy za pieniądze temu lub owemu systemowi rządzenia z jednaką wytrwałością służy! Jakże gorzkie mogły być jego myśli przy téj sposobności?..

Zegarmistrz jednak wcale o tém nie myślał. Zachwycony patrzył na obracające się kółko, po nad które nic go w téj chwili nie obchodziło! On nic nie słyszał, nic nie widział!

Pachołek świadom zamków dawnego swego pana otworzył sam drzwi i wtargnął do sieni.

— Otworzyć! — krzyknął teraz tuż pod drzwiami zegarmistrza, które były zamknięte.

Zegarmistrz jak drugi Archimed nie zważał jeszcze na krzyk nowego nieprzyjaciela. Kółko ciągle się obracało. Ruch był jeszcze równy i jednostajny... szelest ruchu ten sam co przed kwadransiem.

— Otworzyć, bo drzwi wyłamie! — krzyknął znowu ten sam głos pachołka.

— Zaraz, zaraz! — odpowiedział cicho zegarmistrz, aby ruchu nie wstrzymać oddechem.

— Cóż tam znowu? — ozwał się głos drugiego pachołka — przychodzimy w imieniu władzy!

— Powiedziałem że zaraz!—odparł znowu Archimed nie odwracając oczu od kółka.

— Natychmiast!—wołano znowu z sieni.

— Tylko pięć minut jeszcze!—była odpowiedź z warsztatu.

Oczywista że zegarmistrz nie był w bezpiecznej skórze. Coś tam było co zapewne chciał ukryć, do czego potrzebował nieco czasu. Inaczej wysłany z pachołkami urzędnik nie mógł sobie téj zwłoki wytłumaczyć, a to tém bardziej, że w imię władzy drzwi otworzyć trzeba.

Nie czekano więc owych pięciu minut, który to czas wyprosił sobie zegarmistrz do kapitulacyi, tylko wzięto warsztat szturmem nie szcędząc ani drzwi ani rąk własnych.

— Tam do kata! co pan robisz?—krzyknął urzędnik stojący mu nad karkiem.

Zegarmistrz przyłożył palec do ust na znak milczenia, a drugim wskazał na kółko.

Zdziwiony urzędnik stał niejaki czas, patrzył to na zegarmistrza, to na kółko, spojrzał z ukosa kilka razy po kątach, gdzie nic nie zobaczył a wreszcie oznajmił gospodarzowi, że idąc z patrolem ujrzał światło w warsztacie i mniemał że się pali.

Zegarmistrz podziękował urzędnikowi i pachołkom za ich życzliwą przychylność, powiedział im „dobra noc” i zawrócił się do swego „*perpetuum mobile*”, ale kółko już się nie obracało!

W następnych dniach próbował jeszcze kilka razy wprawić kółko w ruch, ale kółko kaprysiło teraz i po kilku minutach stawało zupełnie.

Tydzień cały pracował jeszcze nad udoskonaleniem swego pomysłu, ale już nadaremnie. Był przekonany, że ów urzędnik podpatrzył jego tajemnice owéj nocy i urzekł jego dzieło.

Z każdym dniem począł coraz więcej tracić nadzieję, że dzieła swego dokona. Myśl ta bolesna, to zwątpienie okropne, które tylko wyższe umysły przy kreacyach swoich czują, pochyliło go do ziemi, a lice jego odziało w zmarszczki smutku i bólesci.

Zdawało mu się, że z tego świata zejdzie bez chwały jak zchodzą miliony, nie zostawiwszy po sobie żadnej pa-

miątki! Ludzie zapomną o nim i nikt z potomności nie zapyta się gdzie to jest ten dom, w którym mieszkał ongi Marcin Tarło, były burmistrz z wolnego obioru mieszczan!...

W tych dniach smutku i boleści zaszedł w domu jego wypadek, na który przy zmartwieniu swoim zrazu nawet mało uwagi zwrócił: małżonka powiła mu syna.

A kiedy chrześcijańskim obyczajem małe dziecko do kościoła zaniesiono, uśmiechnął się ksiądz proboszcz, pogłaskał dziecko po pięknej delikatnej twarzy i rzekł do Tarły:

— Mości Marcinie, stawiasz się w słowie. Właśnie jutro drugi raz księżyc w pełni zaświeci od czasu naszej ostatniej rozmowy; przyobiegałeś mi „*perpetuum mobile*:” ten żywy, ruchliwy chłopiec, to istne „*perpetuum mobile*.”

Zegarmistrzowi tak się ten koncept proboszcza podobał, że się na głos rozplakał z radości, i przysiągł przy pieluchach syna, że już odtąd o żadnym sztucznym „*perpetuum mobile*” myśleć nie będzie, posiadając je żywe, zdrowe i ładne!

— Ale zaczekaj wasze—ozwał się proboszcz—trzeba pierwój odpędzić złego ducha, aby go nie wiódł zdrożnemi ścieżkami żywota!.... Trzeba to „*perpetuum mobile*” ochrzcić!.... Jak chcesz aby się w pielgrzymce ziemskiej nazywał?

— Stefan!

— Stefan? Dobrze! Jest to patron niepośledni, w młodym wieku ukamienowany!... Zrobimy nad nim krzyż święty, aby świat zły i przewrotny również nie zabił go tak młodego!....

I nastąpiła ceremonia chrztu świętego.

Zegarmistrz płakał z radości i rozrzewnienia. Mały Stefuś bowiem kręcił się na wszystkie strony, jakby chciał naśladować owe kółko fatalne, które ojcu tyle zmartwienia przyniosło.

— Dalibóg, patrzcie Michale! — wołał szczęśliwy ojciec ze łzami—czyż to nie istne „*perpetuum mobile*” nad którym przez długie lata pracowałem?...

Zegarmistrz był tego dnia najszczęśliwszym z ludzi, bo miał już jak powiadał, swoje „*perpetuum mobile*...”

IV.

Stłuczone okulary.

W życiu zegarmistrza nastały teraz dni ciche i spokojne, o których w mieście nawet nie mówiono. Kronika miasta zupełnie je pomija. Twierdzą uczeni, że milczenie historyi o jakimś narodzi jest dowodem jego szczęścia wewnętrznego; otóż i zegarmistrz był prawdopodobnie szczęśliwy, jeśli z tych dni nic po nim w pamięci ludzkiej nie zostało.

I miał być rzeczywiście szczęśliwym. Stefuś bowiem zastąpił mu zupełnie ową ulubioną jego rozrywkę, bo był tak żywy i ruchliwy jak wymarzone jego „*perpetuum mobile*!”

Był to chłopczyna nadzwyczajnej urody. Miał duże, ciemno-szafirowe oczy, twarz białą i regularnych rysów, a włosy jasnego koloru, które w naturalnych pierścieniach spadały mu na czoło; a co do całej postaci, mógł śmiało malarzowi służyć za model do aniołka.

Zegarmistrz całymi dniami wpatrywał się w swego jedynaka. Na jego widok pierzchała przed nim myśl dawna, aby jakie wiekopomne dzieło sztuki zegarmistrzowskiej po sobie zostawić. Uważał ją teraz za przystęp grzesznej pychy i rozumował w duchu, że stokroć zaszczytniej jest zostawić po sobie człowieka cnotliwie wychowanego, któryby z korzyścią dla społeczeństwa kontynuował dalej pocziwy żywot swoich rodziców.

Tém uspokoił się były burmistrz miasta i wszelkie swoje dawne myśli i projekty, nie wyłączając nawet owego zegaru z czternastoma organizmami, uważał poprostu za czas stracony, z którego kiedyś przyjdzie mu zdać rachunek w dniu ostatecznym!

Dla sąsiadów otworzył teraz swój dom gościnnie, a kunsztem swoim trudnił się tylko o tyle, o ile on przynosił mu zarobek rzeczywisty. Dawna emulacja z mistrzami zegarów strasburskiego i ołomunieckiego zupełnie go odstąpiła i bardzo mu dobrze teraz z tém było, że został napo-

wrót człowiekiem zwyczajnym, zostawiając innym laury nieśmiertelności!.. On już w Stefusiu swoim widział się nieśmiertelnym, w czém go małżonka i proboszcz utwierdzali.

Wywdzięczając się za te wszystkie ofiary, jakie dla niego ojciec ponosił, rośł Stefuś dosyć sporo i z każdym miesiącem tłukł coraz więcej szyb w oknie i szkielek od zegarków.

Ojciec z rozrzewnieniem opowiadał sąsiadom o tych postępach swego jedynaka i płakał z radości, gdy razu jednego udało się Stefusiowi rozłuc olbrzymią banię szklaną, którą ojciec zwykł w sobotę wszystkie porozbierane zegarki ryczałtem nakrywać.

— Patrzcie—mówił do piekarza—ten pewnie nie da się zjeść w kaszy!

— Jak nieprzymierzając zjadł ojca nowy naczelnik miasta!—odpowiedział złośliwie piekarz.

— Cyt! dajcie spokój! — ozwał się pocichu spokojny mieszczanin—dobrze że i tak się stało. Mogłoby być gorzej. Wam tylko gadać byle co! Trzeba rzeczy tak znać jak ja je znam!

Podczas téj rozmowy popisał się znowu Stefuś swoją żywością, i stłukł ojcu okulary.

— Mój Boże! Znowu stłukł mi okulary, przez które dwadzieścia ośm lat na świat patrzyłem!—zawołał zegarmistrz i smutno zadumał się nad szkłem rozbitém!

— Tak, to prawda—odparł piekarz bezdzietny—kiedy człowiek ma rodzinę, to już innemi oczami musi na świat patrzeć! Dawne okulary już do niczego! A najlepiej wtedy jest, nic przed sobą nie widzieć!

Stary zegarmistrz chciał właśnie nad temi słowami się zamyślić, gdy do domu weszło kilku mieszczan. Mieszczanie byli coś zaturbowani i mieli jakiś papier w rękach. Po krótkim przywitaniu opowiedzieli byłemu burmistrzowi, że nowy rządca miasta gwałci jego zwyczaje i przywileje, a nawet targnął się na nietykalność miejskich patrycyuszów, wsadziwszy jednego z nich do kałauzu. Taki gwałt popełniony na swobodach miasta wymaga koniecznie skargi do

władz wyższych i z taką skargą przyszedł właśnie do niego, aby ją podpisał.

Były burmistrz poskrobał się w głowę, zaprosił sąsiadów aby usiedli i ozwał się:

— Wierzę, że w mieście teraz dzieją się rzeczy nie sprawiedliwe, ale cóż robić. Głową muru nie przebijemy! Trzeba cierpieć i kwita! Tak wam radzę i wy tak zróbcie!

— Lepiej byłoby panie Marcinie—ozwał się na to piekarz—abyście nad jakimś arcydziełem waszego kunsztu do dziś dnia pracowali, niżeli dostaliście owego jedynaka, który już wam cały świat zawiązał! Dawniej przecież myśleliście coś i o sprawie publicznej, a teraz widzicie tylko jedynaka i nic więcej! To prawda, stłukł wam okulary, przez które patrzyliście na świat przez dwadzieścia ośm lat!..

— Otóż dlatego — odparł żartobliwie zegarmistrz do sąsiadów—nie podpiszę owego zażalenia, bo nie mam okularów, a bez okularów nic a nic nie widzę! Gdyby kto z was przez lat czterdzieści dłużył w zegarkach!..

— Nie okulary, nie okulary, panie Marcinie—wtrącił złośliwie piekarz—ale jedynak wam oczy zamącił!

— Jeśli tak chcecie, niechże i tak będzie! Jeśli się ma jedynaka, to wolno człowiekowi sobie spocząć. Zawsze ma się tu wymówkę, że co ojciec zrobić zaniedba, to syn potem za niego zrobi! Wy tego powiedzieć nie możecie!

— Daj Boże, daj Boże!—odpowiedział piekarz—aby słowa wasze sprawdziły się!

— Pozwolicie—ozwała się pani Marcinowa—że ja za mego syna odpowiem. Nie wiem, co by on miał w tym świecie do robienia. My damy mu edukacją, aby czemś więcej mógł być aniżeli mieszczaninem.

Piekarz na te słowa postawił marsa, sąsiedzi wzięli skargę i czapki do rąk, ale Tarko nic nie odpowiedział, bo już nie miał okularów, przez które lat dwadzieścia ośm na świat patrzył!

Po tej rozmowie płynęło znowu życie obojga małżonków spokojnie i szczęśliwie. Całym ich światem był jedynak. Pani Marcinowa wymyślała różne sukienki a szczególnie zegarmistrz własną ręką piłował różne sprzączki, które te sukienki w malowniczy sposób spinały.

Stefuś był wierny swemu pochodzeniu. Urodziwszy się w tym czasie, kiedy ojciec nad swoim „*perpetuum mobile*” przemyślał, zastępował mu wiernie jego utraconą mrzonkę. Obracał się nieustannie jak fryga na wszystkie strony, tarzał się po ziemi, wyrzucał nogami i rękami targając sukienki i łamiąc sprzączki. Ojciec płakał z radości patrząc na jedynaka, matka dostawała spazmów, a jeśli który sąsiad wskazał na ulicę, gdzie Stefuś tarzał się w piasku i zauważył że takich rzeczy dziecku pozwalać nie można, pan Marcin wytrzeszczał do okna siwe swoje oczy i mawiał:

— Nic nie widzę! Syn stłukł mi okulary i dotąd ja-
koś dobrać sobie nie mogę!

I tak stłuczone okulary były powodem iż pan Marcin wiele rzeczy nie widział!

Pani Marcinowa utrzymywała, że to właśnie tylko na korzyść jedynaka wypaść może. Chłopiec bowiem młody potrzebował wszelkiej swobody, aby zdrowo wyrość i należycie się rozwinąć. Rygor rodzicielski według jej opinii nie prowadził do niczego. Tworzą się tym sposobem świętoszki, ludzie skryci i złośliwi, podstępni i zawzięci. Jak go Bóg stworzył, niech takim człowiek będzie!

Pan Marcin nigdy się małżonce swojej w niczem nie sprzeciwiał a tém bardziej w kwestyi jedynaka, o którym miał to wyobrażenie, że po ochrzczeniu przez księdza proboszcza jest najwyższą doskonałością!

Było to poniekąd z niemałą korzyścią dla Stefusia. Przynajmniej fizycznie rozwijał się dobrze a w towarzystwie swoich równienników zostawiony był własnemu przemysłowi, radząc sam sobie jak mógł!

Taki tryb życia nie wskazywał mu wprawdzie dróg, jakimi młody chłopiec iść powinien, ale za to rozwijał jego umysł, który sam tych dróg szukać musiał.

Dotąd radził sobie jak mógł. Jeśli ujrzał chłopca słabszego, to niezawodnie nań uderzył i pokonał go. Przed silniejszym miał respekt i starał się nawet o jego przyjaźń, chociażby był przekonany że tenże jego przyjaźni nie jest wart! A jeżeli trudno było o przyjaźń, to uniżył się i był jego sługą.

Nieświadomie grały w nim instynkta panującej wieku XIXgo idei!

Kiedy z progu ojczystego domu patrzył na rozległy, nieregularny rynek miasta, kiedy poza dachami pierwszych kamienic widział inne dachy, daszki i kominy, nachodziła go chęć szukania do tych kominów różnych dróg, jakimi dotąd jeszcze nie szedł, a które przecież tam zaprowadzićby go mogły.

I tak co kilka dni wybierał sobie jakiś fantastycznie wyglądający komin, kreślił w powietrzu najbliższą do niego drogę i tą drogą puszczał się w nadziei, że do celu zdąży.

Dziwiło go jednak nie mało, że chociaż do mety już się zbliżył, nigdy jednak upatrzonego komina nie ujrzał. Dnia jednego tak go to rozgniewało, że zapytał swego nauczyciela który go abecadła uczył.

Pedagog miasta był to człowiek stary, wziął zapytanie chłopca na seryo i odparł z namaszczeniem:

— Gdy będziesz większy, mój Stefusiu, to poznasz, że w życiu człowieka jest wiele rzeczy, które z daleka tylko widzimy, a gdy się do nich zbliżymy, to nikną nam z oczu naszych jak niknie mgła poranna!

— A co to za rzeczy, które tak nikną?—zapytał Stefus wydzierając literę z abecadła.

— Rzeczy te nazywają się ideały!—odpowiedział z powagą pedagog.

— Ideały?—powtórzył Stefus patrząc z zadziwieniem na uczonego starca—ja pytałem o kominy!

— To wszystko jedno mój Stefusiu—mówił dalej niezeterminowany pedagog—czém dzisiaj dla ciebie są te kominy po drugiej stronie miasta, tém będą dla ciebie gdy dorósniesz twoje... ideały!

Stefus wydarł drugą literę z abecadła, ale pedagoga nie zrozumiał. Pedagog mówił dalej:

— Ideały są to rzeczy, które nam się bardzo podobają; ale podobne one są do tych kominów: z daleka widzisz je dobrze, ale gdy przyjdiesz pod kamienicę, to one znikną od ciebie!

Stefus zabierał się do wydarcia trzeciej litery. Pedagog uderzył go po ręce i prawił dalej:

— Czyś jeszcze mnie nie zrozumiał? Nie wiesz jeszcze co są ideały?... Cóż się na przykład tobie najwięcej podoba?... Pomyśl dobrze i powiedz mi.

Stefuś wydarł ukradkiem trzecią literę, podczas gdy pedagog tabakę zażywał, przy czém zawsze oczy zamykał i odpowiedział:

— Mnie najlepiej podoba się... Paulisia Gewontówna!

— Paulisia Gewontówna? — powtórzył pedagog i widocznie zakłopotany zażył powtórnie tabaki. — Paulisia Gewontówna?... hm, hm... widzisz Stefusiu... to także jest.... rodzaj ideału!

— Więc ideał jest żeńskiego rodzaju! — rzekł Stefuś popisując się nabytą od pedagoga nauką.

Pedagog zgromił Stefusia za tę odpowiedź i zakazał mu ostro, żeby w ten sposób nigdy nie mówił.

Na tém skończyła się pierwsza nauka o ideałach. Stefuś nieprzyzwyczajony do surowych napomnień zaczął płakać, na co wyszli z drugiej izby rodzice, jako wyższa instancja.

— Stefuś wygaduje głupstwa! Wart różgi! — wniósł zaskarżenie pedagog.

— Ja przecież to tylko powtarzam, czego się od pana profesora uczę — replikował Stefuś!

— Komuż to tak odpowiadasz? — gniewnie zawołał ojciec — a gdzie jest różga?

I wziął się surowy ojciec do szukania różgi, ale jej nie znalazł, bo nie miał... okularów!

Mała ta chmurka na horyzoncie domowym przeminęła bez żadnych bolesnych następstw. Stefuś zapomniał o małej polemice z pedagogiem, a zapomniał tém łatwiej, gdy do izby weszła Paulisia córka sąsiada, z którą lubił się bawić w różne gry.

Zegarmistrz wystrofowany przez żonę, że ma tak okrutne serce dla swego jedynaka, uczuł wyrzuty sumienia za swoją srogość ojcowską i sowiec wynagrodził Stefusiowi tych kilka łez, które z powodu kwestyi o ideałach spłynęły z jego pięknych, ciemno-szafirowych oczu.

Szczęśliwy ojciec przyłączył się do zabaw swego syna, łapał z nim piłkę, chował się za piec, a nawet położył się

na ziemi i udawał konia, na którym Stefuś galopował przez czas długi, podcinając go od czasu do czasu batożkiem. Paulisia śmiała się serdecznie i pomagała Stefusiowi jak mogła.

Rozmowa jednak o kominach i ideałach wracała często do pamięci Stefusia, osobliwie gdy na progu siedział i na kominy przeciwległych domów patrzył. Dziwiło go porównanie pedagoga tych kominów do Paulisi. Przecież Paulisia nie miała najmniejszego podobieństwa do nich. Kominy uciekały od niego, gdy się do kamienicy zbliżał, a Paulisia nie tylko od niego nie uciekała, ale owszem sama przychodziła, bawiła się z nim, opierała się o jego ramię i patrzyła w jego ciemno-szafirowe oczy!

Tych sprzeczności między Paulisią a kominami, czyli jak pedagog mówił ideałami, nie mógł Stefuś w żaden sposób pogodzić, choć sobie często głowę nad tém mozolił.

Wreszcie nie stało czasu na takie luźne myśli, bo teraz po pierwszych przygotowaniach wstąpił Stefuś w nowym ubiorze do szkoły publicznej, w której trzeba było z rękami na ławce siedzieć przez sześć godzin.

Było to zrazu wielką męką dla rozpieszczonego jedynaka, ale później odkryły się także niektóre przyjemności nowej sytuacji: zgromadzenie bowiem chłopców było liczne; professor na uczniów patrzył przez palce: można było bić się i różne figle płatać, które niejako były popisem tych nowych gładatorów.

I tak minęły trzy lata, kilkanaście książek poszło w kawałki, i byłoby się na tém skończyło, gdyby nie matka, która chciała swego jedynaka wykierować na coś lepszego w świecie, aniżeli na prostego mieszczanina.

To téż sprawiono Stefusiowi nowy ubiór, zaczesano mu porządnie włosy i oboje rodzice wywieźli go na początku pięknej jesieni do miasta obwodowego, gdzie go opiece pewnego niższego urzędnika powierzono.

I tak mijał rok za rokiem, Stefuś zdzierał jeden kubrak po drugim, co roku przyjeżdżał do domu, bawił się z Paulisią a przytém patrzył także i na kominy i utwierdzał się w pierwotnych swoich myślach, że między Paulisią a komi-

nami nie ma żadnego powinowactwa, bo gdy tamte za zbliżeniem się uciekają, to Paulisia nigdy od niego nie ucieka!

Wreszcie nadszedł taki rok, w którym jasno i zrozumiale wytłumaczono mu co to są ideały. I właśnie w tym roku, czy raczej po tém wytłumaczeniu zaszła w nim znaczna zmiana.

Stefuś przybladł trochę, oko jego zamgliło się jakąś tęsknotą, na brodę wysypał się złoty puszek.

Koledzy mieli go w podejrzeniu że wiersze układa.. Było to jednak podejrzenie niesłuszne, bo Stefan inaczej ideały życia pojmował. Nie chciał on się w żadne marzenia zasklepieć, choć mu powiedziano, że wszyscy wielcy ludzie od marzeń poczynali. Ideałem dla niego było życie i to co się w tém życiu zwykłym okiem widzi. Wszystko inne uważał za mrzonki: stanął więc od razu na gruncie realnym.

Stosownie do tego swego usposobienia obejrzał się wkoło siebie, o ile zgadza się z tém wszystkiém co go otacza; sądził bowiem, że do tego wszystkiego trzeba się zastosować.

Najprzód wpadła mu zewnętrzna postać ludzi, których miał naśladować. Uczył się chodzić, jak oni chodzą, ubierać jak oni się ubierają. Rozumie się samo przez się, że w tém naśladownictwie postępował coraz więcej zaczawszy od jakiegoś aplikanta z najeżoną czupryną a skończywszy na młodym księciu, który z guwernerem swoim z pobliskiego zamku do miasta przyjeżdżał.

Goniąc za takimi ideałami życia, popadł nieraz w wielką sprzeczność z rodzicami, bo te ideały kosztowały wiele pieniędzy i z zasadami byłego burmistrza wcale się nie zgadzały. Za to matka trzymała zawsze stronę syna, który wyglądał jak lalka wystrojony i dopomagała mu nawet pokątnie do tego, sprzedając jaki klejnocik domowy lub co się zdarzyło, bez wiedzy ojca.

• Zegarmistrz ubytku w domu nie widział, bo okulary stłukł mu już dawno Stefuś, a nowych jeszcze dotąd nie mógł sobie dobrać do oczu!..

Z takiego usposobienia Stefusia wpływało logicznie, że garnął się tylko do towarzystwa takich ludzi, którzy powierzchownością swoją odznaczali się od innych. Gdy ujrzał

na jakim elegancie nowy tużurek, już starał się o jego przyjaźń, aby przy nim studyować tajemnice mody. Widział bowiem że to u ludzi popłaca, i że strój zewnętrzny więcej znaczy niżeli dyplomy doktorskie.

Toż wkrótce, jeżeli nie prześcignął, to przynajmniej wyrównał pierwszym elegantom miasta obwodowego. U wielu kolegów był nawet wyrocznią w najdrobniejszych szczegółach mody.

Kobiety rozkosznie patrzyły za pięknym młodzieńcem, któremu strój elegancki jeszcze więcej wdzięków dodawał, i znały go wszystkie pod nazwiskiem: *ładny Stefuś!*

W obec takich successów miasta obwodowego czém mogło być mu teraz miasto rodzinne? Gdzież było tam dla niego towarzystwo? A przecież potrzeba było choć kilka tygodni w domu rodzicielskim przesiedzieć w roku. A w tym domu było wszystko tak staroświeckie, tak zastarzałe!..

Stefuś jednak radził sobie jak mógł w czasach téj pokuty. Dwa domy w mieście należały do wyższej miejscowej arystokracji: jeden był dom aptekarza, drugi pocztmistrza. Oba te domy nie miały wprowadzić kobiet, ale było kilku mężczyzn, z którymi mógł Stefuś chodzić po pod boki po rynku miasta.

I była to jedyna jego rozrywka. Codzień koło południa można było widzieć nierozdzielną trójkę w jasnych rękawiczkach, która głośno śmiała się i rozmawiała jakby koło nich miasta nie było.

Do tego towarzystwa przyłączali się czasem oficerowie od konnicy, którzy w poblizkiej wsi byli rozkwaterowani. Oficerowie byli zazwyczaj ludzie młodzi i zamożni. Mieli ładne koniki i angielskie karykle. Mówiono o tém nieustannie, opatrywano konie i karykle, a Stefuś tak się przyzwyczaił do tych różnych akcesoryów życia ludzkiego, że po nad nie prawie nie więcej nie widział!

Nie widział nawet, że Paulisia, która teraz w dorosłą pannę dojrzała, każdym razem, gdy do miasta przyjeżdżał, sprawiała sobie nową sukienkę, i w niej po całych dniach w oknach domu swego siedziała. Nie widział wcale, jak jęj oczy powoli posuwały się za nim gdy po rynku się przechadzał. A nawet nie wiele widział i wtedy, gdy z babką do jego ro-

dziców przyszła i różne rzeczy z czasów młodocianego wieku mu przypominała.

Stefuś nudził się w jój towarzystwie, odpowiadając na jój zapytania patrzył na rynek, kiedy pokaże się karykiel hrabiego Maszamarosz, lub przynajmniej siostrzeniec aptekarza.

Paulisia widocznie białe zębki zaciskała z gniewu, ale to wszystko nic nie pomogło. Stefuś stracił zupełnie pamięć o zabawach dzieciennych, bo ideały jego latały gdzieś daleko ponad kominy miasta. Nawet stary piekarz był dla niego nieznośny, który snadź to przeczuł, bo razu jednego, gdy był sam na sam z sąsiadem, rzekł do niego:

— Patrzcie Marcinie, z kim to wasz jedynak chodzi po rynku! Dwóch oficerów i jakiś pędziwiatr! Nie wiem do czego go edukujecie, ale to przecież mi się nie podoba!

Stary zegarmistrz chciał przez okna popatrzeć i machinalnie posunął po stole, aby gdzie okulary namacać, ale okularów nie było, bo były dawno stłuczone!... Nic nie widział!

Matka zaś nie posiadała się z radości, że syn jój brata się z takimi osobami, do których żaden mieszczanin z czapką na głowie nie mógłby się zbliżyć! I słodko zamarzyła o jego przyszłości, budując dla niego zamki i pałace!..

Wreszcie skończyły się szkoły miasta obwodowego. Stefuś miał już dwadzieścia kilka lat. Stary zegarmistrz postanowił po długim wahaniu się aby Stefuś udał się na wszechnicę i tam na wydział prawniczy się zapisał.

Było to prawie nad siły starego zegarmistrza, ale żona wytłumaczyła mu, że Stefuś za tę edukację stokrotnie rodzicom wszystko wynagrodzi, a nawet o krewnych nie zapomni!

Stary Tarło zaciągnął więc dług na kamieniczkę i wyprawił syna do stolicy kraju.

Dzień ten wyprawy był dniem uroczystym w całym mieście.

Najprzód zamówił stary Tarło u proboszcza mszę świętą, na którą wszystkich krewnych i znajomych zaprosił. Po mszy wyprawił u siebie śniadanko sute dla wszystkich na-bożnych.

Nawet aptekarz i pocztmistrz, którzy tylko w dni solenne w progi mieszczańskie wstępowali, raczyli przybyć na wielką prośbę pani Marcinowój, która własnoręcznie w tym celu napiekła placek i bułek.

Był także i piekarz stary, ksiądz proboszcz i Paulisia z babką.

Proboszcz był wesół i przypominał staremu zegarmistrzowi szczegóły chrztu Stefusia.

Rozmowa nastroiła wszystkich nader przyjaźnie, do czego również przyczynił się i węgrzyn. Wszyscy kochali się i ściskali, starzy płakali a młodzi śmiali się...

W obec tych afektów nie mógł i Stefuś pozostać nieczułym. Zbliżył się do Paulisi, która już długo tego czekała i opowiedział jój pierwszą swoją lekcją o ideałach i kominach.

Śmiali się oboje z téj lekcyi, ale śród śmiechu jakoś coraz więcej zbliżali się do siebie, coraz głębiej patrzali sobie w oczy, a przez oczy gdzieś aż dalej...

— Pani masz prześliczną broszkę, szepnął wreszcie Stefuś nachylony do Pauliny.

— Czy się panu podoba?— wyszeptała Paulisia—to pamiątka po babce, ale... mogę ją panu dać!

Stefuś patrzył z coraz większym ożywieniem jak prześliczne rączki Paulisi zabłąkały się w chusteczkę muslinową, w której była broszka utkwiona. Po raz pierwszy spostrzegł, że tak drobnéj i gładko utoczonéj rączki prawie nigdy jeszcze nie widział... Różowe paluszki rozplątywały długo zawiły węzeł chustki,... może zatrzymały się tam naumyślnie tak długo, aby Stefusia uwagę zwrócić na cudowny biust, który ta przezroczysta chusteczka na poły osłaniała...

Stefuś rzeczywiście widział skarby przed samym odjazdem, o jakich dotąd nie miał wyobrażenia... a może właśnie dla tego wydały mu się tak piękne, że je za chwil kilka miał opuścić...

— Pamiątka nie chce jakoś odzepić się od... pani! — szepnął z ożywioną twarzą

— Jeżeli tak samo pana trzymać się będzie, to będę za nią wynagrodzoną — odszepnęła mu Paulisia prawie do samego ucha, tak że czuł gorący jój oddech na skroni.

Tymczasem odczepiła się broszka i zsunęła się z wolna do ręki Stefusia.

Stefuś obejrzał broszkę ze wszystkich stron jakby jaki talizman.

— Cóżto za znaki na odwrotniej stronie?—zapytał pocichu—korona czy raczej mitra książęca... i herb...

— Herb Radziwiłłów!—odpowiedziała Paulisia z pewnym naciskiem.

Nie było czasu na dalszą rozmowę, bo proboszcz powstał i wszyscy poczęli się żegnać i Stefusiowi szczęśliwój drogi i wszelkiego szczęścia życzyć.

Stefuś uściśnął rączkę Paulisi a daną pamiątkę szybko schował.

Po tym uścisku zdawało mu się, że mu ubyło kilkanaście lat, że jest tak młodym jak wtedy, gdy z pedagogiem o ideałach rozmawiał.

V.

Dom tajemniczy.

Najstarszy mieszczanin w mieście, kuśmierz Anastazy, który od lat dwudziestu w grobie spoczywał, opowiadał nieraz za życia, osobliwie gdy przy ciepłym piecu kozuchy naprawiał, dosyć szczegółną historiją, której był świadkiem naczynym. Osnowa téj historiji była następująca:

Za czasów wielkich niepokojów w kraju, gdy Anastazy był jeszcze małym chłopcem, przyjechała do miasta wielka bryka podróżna, wyładowana różnemi sprzętami. Na bryce siedział jakiś stary szlachcic w perłowym kontuszu z czołem podgoloném i długą szablą przy boku. Przy nim tuliło się małe dziewczę, które widocznie było jego córką lub wnuczką.

Bryka ta stanęła na środku miasta, tak jak to czasem cyganie stawać zwykli. Szlachcic rozścielił koło bryki jakąś derkę, z drugiej zrobił dach i tak przenocował.

Na drugi dzień obszedł całe miasto dokoła i wszędzie pytał, czy kto domu nie sprzeda. Oczywiście że nikt domu sprzedać nie chciał, bo dom dla mieszczanina to połowa jego życia.

Ale poszczęściło się szlachcicowi (tak go w mieście nazywano) że na drugi dzień umarła wdowa po bednarzu, a że o sieroty zazwyczaj nikt nie dba, to opiekun sprzedał dom i zagarnął pieniądze, same złoto holenderskie do kieszeni.

Szlachcic zwinął derkę, zajechał z bryką do sieni i od-tąd mało kto widział go w mieście.

Zrazu nikt na to nie zważał. Przechodzono koło drzwi zamkniętych i nikomu na myśl nie przyszło zapukać tam i popatrzeć, co się wewnątrz dzieje. Zauważono tylko, że gdy żebrak jaki do bramy się zbliżył, wtedy do niego przez szparę wychyliła się biała rączka, a żebrak głośno prosił Pana Boga, aby na ten dom i jego mieszkańców zesłał jak najwięcej błogosławieństwa!

To téż ludzie nic złego o tym domu nie myśleli wychodząc z zasady, że kto biédnym jałmużnę daje, ten złym człowiekiem być nie może.

Stróż tylko nocny opowiadał swoim najbliższym przyjaciółom, że w domu tym albo co straszy, albo jakieś nieczyste dzieją się rzeczy. Każdej nocy bowiem, osobliwie gdy koguty na przedmieściu pieją, słychać za oknami jakiś szelest, a przez szpary okiennic widać migające światła.

Razu jednego, gdy stróż za słupem stał ukryty, otworzyła się brama tego domu i ta sama bryka, którą do miasta szlachcic przyjechał, wyjechała z sieni wysoko naładowana!

Stróż znowu powiedział o tém swoim znajomym, z czego urosły o tym domu w całym mieście najrozmaitsze pogłoski. Jedni utrzymywali, że lokator tego domu jest przywódcą bandy złodziejskiej, inni widzieli go przebranego za diabła niemieckiego, a największa część utrzymywała, że to po prostu jest fałszerz pieniędzy, który fałszowany towar bryką po świecie rozwoził!

Pogłoski te zmusiły wreszcie władzę miejscową do kroków policyjnych. Pewnej ciemnej nocy, gdy burza na świecie szalała, kilku pachołków wpadło nagle do sieni z latarkami, a ztamtąd do izby, zkąd wychodził ten dziwny szelest i to światło przyćmione.

I cóż obaczyli pachołkowie?... Oto, przy dosyć wielkim stole siedział stary szlachcic i—szył kozuch!

Pacholłkowie przetrzęśli wszystkie kąty, ale nigdzie nie znaleźli tylko same — kozuchy!

Kiedy jednak wrócili do gospodarza, który przy kozuchu został w izbie, zastali go nieżywego! Tchnęła go apopleksya!... Umarł ze wstydu, że go zastano przy takiej robocie!

Kuśmierz Anastazy więcj nie wiedział, ale to co wiedział było istotną prawdą. O bliższe wyjaśnienia trudno, bo wyjaśnień tych nikt z tego domu nie dawał a pół wieku już dawno minęło jak się to działo. Jedna tylko zaufana przyjaciółka tego domu, również zagadkowego pochodzenia, wygadała się raz przed swoją sąsiadką o niektórych szczegółach tego domu.

Skorzystawszy z jej gadatliwości można sobie w następujący sposób tę całą tajemnicę wyjaśnić:

Ów podróżny, który tą bryką do miasta przyjechał, był to szlachcic z głębokiej Litwy, który się tutaj nazwał Gewontem. IMPan Gewont, jak utrzymywała przyjaciółka domu, należał na Litwie do bardzo dawniej i dosyć zamożnej rodziny. Był to człowiek dumny i nigdy tego niecierpił, aby ktoś nad nim miał przewodzić; był przytem prawy i rzetelny jak rzadko.

W owym czasie zaczął broić po swojemu JPan książę Radziwiłł z Nieświeża, który do pomocy różnych swoich pomysłów zbierał wtedy ową znaną bandę albeńską.

Ponieważ Radziwiłł nie szczędził ani czapki, ani papki, więc banda albeńska rosła z dnia na dzień i jaki taki szlachcic cisnął się do stołu i do nóg pańskich.

Tym sposobem cały powiat już się zalbeńszczył, a nawet i pół-panki zaczęły zaciągać się do znaku pana na Nieświeżu: jeden tylko dworek szlachecki tuż niedaleko zamku zachował swoją niepodległość i głuchym był na wszelkie ze strony zamku admonicje.

Książę próbował najrozmaitszych sposobów, aby upar tego szlachcica do bandy wcielić, ale nic nie pomogło. Szlachcic odpowiadał, że na swojej zagrodzie równa się wojewodzie.

Szlachcicem tym był IMPan Gewont.

Gniewało to kapryśnego księcia. Próbował namowy ojca jezuity, próbował elokwencyi Wojskiego, próbował wreszcie gwałtu i kozaków swoich; ale wszystko nadaremnie: szlachcie stał jak opoka.

A gdy jeszcze i proces o grunt graniczny nie nie mógł, wtedy nagle zmienił książę front i do szlacheckiego dworku wysłał swego marszałka zapraszając się w gościnę.

IMPan Gewont zwąchał zdradę. Przejrzał cały plan księcia. Książę chciał go po prostu swoją gościną zrujnować i upokorzyć sądząc, że potém skłoni się do jego zamysłów.

Cofnąć się jednak nie pozwalał honor szlachecki: przed gościem domu zamykać nie wolno.

Odpowiedział więc marszałkowi, że jeśli książę jako przyjaciel, jako równy do równego przychodzi, to dom jego i serce jest otwarte na rozcież!

Niebawem wjechał książę do dworku z całą swoją świtą. Szlachcie uważał za punkt honoru przyjąć gościa po książęcemu: duma jego nakazywała mu tak.

I trwała uczta cały tydzień. Książę codziennie całował szlachcica, żonie i dzieciom robił prezenty, a szlachcie kupował u lichwiarzy klejnoty i w dziesięćorakięj wartości oddawał prezenty całemu książęcemu orszakowi. Słowem szlachcie chciał być równym wojewodzie!

I dokazał swego. Darami i ucztą przewyższył nawet księcia. Ale za kilka tygodni sprzedał wioskę, popłacił wino, bakalie i klejnoty, a z resztą wsiadł na brykę, aby książę i sąsiedzi jego ubóstwa i nędzy nie widzieli. I pojechał daleko, gdzie go ludzie nie znają.

Przyjechał więc do miasta, kupił za resztki dom, a przybrawszy nazwisko Gewont, rozpoczął tutaj nowe życie zupełnie nowego człowieka.

Z jedną rzeczą tylko nie mógł się pogodzić. Potrzeba było czémś na chleb zarabiać. Innęj rady nie było jak imać się rzemiosła, bo służyć nie pozwalała mu jego duma. Ale rzemiosło, według dawnéj rycerskiéj reguły, plamiło zawsze szlachcica, a nawet łokieć i miara.

To téż po długim pasowaniu się z sobą, postanowił wreszcie ukryć przed światem pracę swoją, do której był

teraz zmuszony. W nocy, przy zamkniętych okiennicach szły kożuchy i tajemnie potem jeździł z nimi po jarmarkach; a gdy go ludzie przy téj robocie zastali — umarł ze wstydu!

Taka była powieść o dziadku czy raczej pradziadku Paulisi, której jednak ona dokładnie nie znała. Pan Gewont bowiem zakazał jak najsurowiej przekazywać pamięć swego rodu sukcesorom, aby ich tym sposobem uwolnić od hańby, która im się słusznie należała, że ręczną pracą plamili klejnot. Według swego mniemania był on ostatnim z rodu, a jeszcze za jego życia skruszył herold u stóp jego kopią i roztlukł tarczę herbową!... Dopóki jednak mógł być szlachcicem, to nim był a nawet zrównał się z księciem wojewoda! Czyż to nie dosyć?...

Po jego śmierci znaleziono list zapieczętowany, który według adresu odesłano, a zaraz za listem przyjechał średniego wieku człowiek, który się również Gewontem nazywał i pozostałą po nieboszczyku córkę za żonę pojął. I on z czasem poszedł za miasto pod czarny krzyż dębowy, a córka jego wraz z mężem umarła w czasie morowej zarazy, po których została Paulisia.

Paulisia miała już inne nazwisko, ale ponieważ dwóch Gewontów po sobie następowało, to ludzie Paulisię nazywali Gewontówną albo Gewontową.

S. p. Gewont II nie wstępował już w ślady swego poprzednika. Zdaje się, że miał to przekonanie po pierwszym wypadku, że rzemiosło nie może prosperować w domu Gewontów. Do domu w mieście dokupił więc duży ogród na przedmieściu, który miał całej rodzinie dostarczyć chleba, ziemniaków, cebuli i pietruszki.

Tym sposobem życie Gewontów było bardzo biedne. Potrzeba było często łamać się z największą nędzą. Czasami po całych dniach nie było nic ciepłego w domu; ale za to było wewnętrzne zadowolenie, że się na życie nie zarabia rzemiosłem, jak każdy inny prosty mieszczanin.

Stało się nawet, że tak zwany patrycyat miasta przyjął Gewontów między siebie, bo byli tylko posiadaczami kamienicy, a żadnego rzemiosła nie wykonywali.

Z tym jednak patrycyatem żyli Gewontowie na stopie bardzo etykietalnej. Ubóstwo ich nie pozwalało do domu wpuszczać ludzi, którzy zwykli zaglądać po wszystkich ką-

tach i potem w bezczynności swojej bawić się obmową. Gewontowie chcieli bowiem ubóstwo swoje mieć tylko dla siebie, a światu okazywali zawsze stronę jaśniejszą. Wrodzoną była im duma pierwszego Gewonta, która z krwią przeszła na dzieci.

W domu było kilka cynowych naczyń, a nawet coś srebra także tam się błyszczało. Wszystko to stawiano przed oczyma gości, chociaż kilka dni byli bez gotowanej strawy.

Ta etykietałna przegroda od reszty mieszkańców miasta nadawała im jakąś inną atmosferę, w której czuć było dawniej zamożnych ludzi: atmosfera ta otaczała ich w oczach miasta pewnym urokiem.

Gewontowa miała zawsze ubiór czysty i gustowny, chociaż nie wiadano z kąd ten ubiór pochodzi. Inne mieszczańki brały ją sobie za wzór wiązania chustki na głowie i noszenia rańtucha z fantazyją.

Jakkolwiek Gewontowie tylko z tak zwaną dawną arystokracją miasta (nowszą nazywano przybłędami) towarzyskie stosunki mieli, wyjątkiem jednak zaszczycali dom Tarłów.

Stary Gewont, skoro tylko na czarnej tablicy przeczytał to nazwisko, zabrał zaraz z zegarmistrzem znajomość, nie dlatego, że tenże był burmistrzem, ale że się Tarłem nazywał.

Dla starego karmazyna miało to nazwisko jakiś urok tajemniczy. Kilkakrotnie nachodził burmistrza, aby mu powiedział, z kąd do tak pięknego nazwiska przyszedł. Do statecznej jednak odpowiedzi nie dostał, bo burmistrz sam o tém nie wiedział, a nawet dziwił się, nie znając dawnych rodów szlacheckich, co w tém nazwisku tak szczególnego być może. Wielce nawet zmartwił Gewonta, gdy mu razu jednego opowiadał, że to nazwisko prawdopodobnie z kąd w jego rodzie wyrosło, że pradziad jego miał nad rzeką tartak, które to miejsce jeszcze po dziś dzień „tarliskiem” nazywają.

Takie wyjaśnienie nie przekonało jednak starego Gewonta. Widział on poza prostotą mieszczanina jakąś tajemniczą historię domową, która mogła być podobną do jego. Osobliwie uderzały go w rodzinie Tarłów pewne wyższe przymioty, które tę rodzinę nad innych mieszczań stawiały.

Według przekonania Gewonta tylko szlacheckie pochodzenie mogło te wyższe znamiona na Tarłach wywierać, chociaż oni o tém pochodzeniu przez dziwny zbieg okoliczności zupełnie zapomnieli.

Być może, że jaki ubogi konar domu Tarłów, jak to w wielkich domach często się widzi, odłamał się od pnia wspólnego i popadł w ubóstwo, które nakazywało mu na rzecz znakomitego domu zrobić ofiarę. Wtedy zapewne wziął się biedny potomek wojewodów do zegarmistrzostwa i wyrzekł się pokrewieństwa, aby klejnotu nie plamić. Według rygoru reguł rycerskich było to prawdopodobnem.

Tak rozumował sobie stary Gewont i bez ubliżenia ścisnął rękę zegarmistrza, choć mu z myśli swoich nigdy się nie wypowiadał. Miał bowiem i on tajemnicę swoją rodową, przestrzegał więc jęj i u drugich. Tym sposobem te dwa domy zbliżone były do siebie nie tylko murem wspólnym, ale także i afektem.

VI.

Paulina.

Stary Gewont przekazał dzieciom swoim, aby historii domu swego nikomu nie opowiadać; nietylko jednak nie osiągnął tém celu, ale przeciwnie dał powód do najróżnorodniejszych baśni.

W samym domu wyrządziło to wiele szkody. Młodsze pokolenie dowiadywało się dopiero z miasta co o domu mówiono. Rozumie się że to, co mówiono nie zawsze było prawdą. A jeżeli córka z daleka matki o to się zapytała, otrzymała odpowiedź niewystarczającą, na której poprzestać nie mogła.

A po mieście obiegały czasem wieści dziwne. Służące najczęściej roznosiły te wieści. Widząc srebra i jakieś rodzinne pamiątki w tym domu, dorabiano do nich całą historię, która czasem nie była bez dowcipu.

I tak żona strażnika od dochodów opowiadała, że Gewontowa jest córką jakiejś wysoko położonej osoby, że

nawet od téj osoby nadchodzą listy i prezenty, ale wszystko to musi być w wielkiej tajemnicy.

Opowiadała również, że raz jednego jakiś podróżny przyjechał wozem pocztowym, któremu wszyscy rządowi bardzo nisko się kłaniali, i prosto poszedł do domu Gewontów i tam aż do wieczora bawił.

Przyjaciółka pani strażnikowej była tego zdania, że sama postawa i rysy staréj Gewontowej dowodzą, że nie jest ze stanu mieszczańskiego. Przyczynia się także do téj opinii i cały tryb ich życia, który zupełnie różni się od życia mieszczanina. Niemniej i mowa okazuje, że są z dalekich stron kraju.

Na téj podstawie tworzono różne dalsze romantyczne epizody. Mówiono że Gewont wykradł z jakiegoś zamku żonę swoją i tu ją uwiózł, aby się potajemnie z nią zaślubić. Dlatego ma kiedyś na Gewontów spaść kolosalna fortuna, skoro tylko ktoś umrze, kto temu spadkowi przeszkadza.

Niepodobna aby takie wieści nie wpłynęły na umysł młodej generacyi Gewontów. To co się słyszało poza domem, miało zawsze jakiś grunt a przynajmniej wskazywało na jakieś tajemnice.

Wnuczka Gewontowej, Paulisia, była o rok albo o dwa młodszą od Stefusia. Teraz miała już lat dwadzieścia i była piękną w całej pełni rozwiniętą kobietą. Miała twarz śniadą z lekkim rumieńcem, krucze, obfite włosy, brew szeroką, oczy brunatne i na wierzchniej wardze lekki puszek. Wzrostu była średniego, kibici wysmukłej i pięknie zaokrąglonej. Do tego należała jeszcze rączka drobna i biała, która zawsze odpowiednim gestem towarzyszyła słowom. Z tą rączką w bezpośrednim stosunku stały oczy, które to dopowiadały, czego rączka i usta zaniedbały.

Nie była to wcale piękność posągowa, nie było tam rysów cichych i spokojnych jak u Wenery medycejskiej, ale było jakieś dziwne życie we wszystkiém i harmonia. Nie tylko słowom, ale nawet i najskrytszym myślom towarzyszyło jakieś zewnętrzne ożywienie całej postaci, które najczęściej te myśli zdradzało.

Paulina od najmłodszego wieku żyła jak każda kobieta w rozmaitych urojeniach.

Gdy była dzieckiem ozwały się w niej piękne, szlachetne instynkta. Stefuś był jęj towarzyszem zabaw, Stefusia więc lubiła a nawet kochała go jak brata, chociaż jęj często w częms dokuczył.

Po wyjeździe Stefusia do szkół powiatowych było jęj bardzo smutno a nawet często płakała. Ale serce jęj poniosło cios bardzo dotkliwy, gdy Stefuś po roku do miasta wrócił i ją zupełnie obojętnie powitał!... Tłumaczyła sobie w rozmaity sposób tę obojętność, którą instynktem odgadywała, pocieszała się jak mogła i czekała znowu rok cały w nadziei, że to się odmieni!

I powoli biegł rok za rokiem a nadzieja zawsze ją zawodziła.

Kto kiedykolwiek badał serce kobiety, która na bierném swoim stanowisku tylko czekać i cierpieć może, ten przyzna, że nad jęj ciche bohaterstwo nie ma prawie równego na świecie!

Paulina była także w tych dziesięciu latach taką bohaterką w swoim rodzaju. Od roku do roku odkładała szczęście swoje, liczyła tygodnie i dnie i czekała cierpliwie.

Wprawdzie czekanie to urozmaicone było różnemi epizodami, które jednak tylko w jęj marzeniu były.

Już gdy miała lat kilkanaście, zasłyszała o wieściach, które o Gewontach w mieście obiegały. Kilka razy potrącała o te wieści z babunią, ale babunia tak dyplomatycznie na to jęj odpowiedziała, że uznała za rzecz potrzebną więcęć o to się nie pytać.

Teraz dopiero zaczęła żywo jęj wyobraźnia uzupełniać to wszystko, czego babunia niedopowiedziała. Tworzyła więc najrozmaitsze powieści, podobne do tych, które w książkach wyczytała, i niemi karmiła się nieustannie. Wyobrażała sobie jakich bogatych krewnych, którzy się jęj wyrzekli, sięgała nawet czasem do sfer bardzo wysokich. Pozostałe po pradziadku pamiątki z herbem książęcym popychały ją jeszcze dalej w marzeniach, i w końcu tak w swoje marzenia uwierzyła, jakby to wszystko było istotną prawdą!

Uważała siebie za jakąś ofiarę względów światowych, i zaciskała drobne rączki swoje przeciw temu światu, który ją rzucił jako konchę z perłą do brudnej sadzawki, pełnej żab i ślimaków!

Ubóstwo rodzi zazwyczaj ludzi egzaltowanych. Jestto rzeczą naturalną. Jeśli człowiek w świecie rzeczywistym, który go otacza, nie znajdzie dla siebie uspokojenia pragnień swoich, to rad stwarza sobie światy idealne i tam chętnie przybywa. Od zbytków i rozkoszy realnego życia tylko niepospolity umysł potrafi się oderwać, aby zaczerpnąć odmładzającej atmosfery idealizmu.

Dom Gewontów był bardzo ubogi. Wielełożono aby przed światem to ubóstwo ukryć; ale im więcej przed światem je ukrywano, tém dotkliwiej dało się ono uczuć mieszkańcom.

Paulina siedziała nieraz po całych dniach bez ciepłej strawy. W tychto dniach trapiły ją najwięcej marzenia o bogatych krewnych, o zamkach i pałacach. Dla ulżenia sobie snuła wtedy z zagadkowych losów swoich najdziwniejszą przyszłość, którą ubierała w dostatki krolewskie!

Marzenia takie były dla niej ulgą na dwie strony. Najprzód tłumiły w niej boleść, jaką zadawała jęj sercu co-roczna obojętność Stefusia. Wyobrażała sobie że jęj los sam zemści się nad zimnym człowiekiem i wyniesie ją kiedyś daleko wyżej nad niego!... Niemniejszą ulgę przynosiły jęj także te marzenia w dojmującym ubóstwie, które na coś innego nie miało litości!

Nieraz bywało, osobliwie w wieczorach zimowych, gdy światła w domu nie było, siedziała Paulina po pięć godzin w ciemnym kącie izdebki, nieruchoma jak posąg z kamienia.

Wtedyto przesuwwały się przed jęj oczyma cudowne obrazy jakiegoś nieznanego świata, który jak raj utracony tylko bolesną powieść po sobie zostawił!... Ale ten świat do niej należał, a ona do niego! Czyż ma już na zawsze podpisać akt rezygnacyi? Czyż ma się wyrzec tego, co jęj odebrano? Czyż nie ma sposobu, aby to wszystko napowrót zdobyć? Jakież drogi mogą do tego prowadzić?...

Takie pytania zadawała sobie, ale dotąd nie miała dla nich odpowiedzi.

Każdy rok przylewał coraz więcej goryczy do jęj młodego życia. Świat, który ją otaczał był dla niej zimny i obojętny. On widział w niej tylko ubogą dziewczynę, a marzeń jęj za nic nie liczył!

Marzenia te jednak wycisnęły na całej jęj postaci pewne piętno. Głowa jęj była zawsze do góry wzniesiona, jak przywyklęj do rozkazów królówęj. Na czole malowała się duma, którą bardzo łatwo można było zadrasnąć, a w brunatnych oczach przebijała energia, gotowa do walki z życiem na zabój. Każdy jęj krok, każdy ruch wyzywał do walki i okazywał gotowość do nięj.

Mieszkańcy miasta różnie tłumaczyli sobie tę pychę ubogięj dziewczyny. Jedni widzieli w tém poproście spadkobierstwo pradziadka. W prawnuczce odrodził się zupełnie szlachcic, który majątek stracił, aby księcia wojewodę przyjąć u siebie jako równego sobie. I być może, że było w tém wiele słuszności.

Inni znowu utrzymywali, że ta duma i lekceważenie innych opiera się na jakichś nadziejach wielkiego spadkobierstwa, a byli i tacy którzy twierdzili, że Paulina poproście dumną jest na swoją urodę, która ma ją kiedyś wywyżżyć daleko ponad stan mieszczański. Śmieli się nawet że oczekuje karety złotęj i cugowych koni, które konkurenta przed dom przywiozą...

Była więc znaczna dysharmonia między Pauliną a opinią miasta. Już sama jęj postać odbijała znacznie od tła miejskiego. Umiała się ubrać jak się tylko wielkie panie ubierają i umiała nawet w tym ubiorze chodzić, co się bardzo rzadko trafia u kobiet niższej warstwy towarzyskięj.

Każda drobnostka w jęj ręku przybierała urok niewysłowiony, czy to biała róża niedbale do włosów wetknięta, czy polny kwiatek wyglądający ciekawie z poza małęgo uszka. Była to prawdziwa lwica całęgo miasta, a dla rówiennic była chodzącym żurnalem.

Umysł jęj był od natury bardzo hojnie wyposażony. Do tego posagu dodała także trochę pracy własnej. Pedagog miejski miał małą biblioteczkę, z któręj Paulina jednę książkę po drugięj brała. Przy życiu prawie beczynnęm miała więc czas wiele przeczytać, i wiele się nauczyć.

Tym sposobem stworzyła sobie w mieście stanowisko wyjątkowe. Ludzi, o których marzyła nie było w ubogięj mieścinie, a ci, co byli nie odpowiadali jęj uroszczeniom. Na rzemieślnika patrzeć nie chciała, a rzemieślnik swoją drogą od nięj uciekał, bo widział w nięj panią a nie gospodynią.

Jedyném jeszcze marzeniem, dla niéj był Stefuś. Ale i to marzenie słabło już co rok w miarę jego obojętności i w miarę postępujących coraz wyżej urojeń Pauliny. Wspomnienie jedynie lat dziecinnych trzymało jeszcze nié sympaty nawiązaną, która zazwyczaj jest najsilniejszą ze wszystkich. Wierzyła że ta sympatya i z jego strony się zbudzi, gdy będzie pora po temu.

Najważniejszym epizodem jéj cichego życia był rok jeden, w którym wędrowną trupa artystów zabłądziła do miasteczka. Paulina jeszcze dotąd czuła dreszcze na to wspomnienie.

Bohaterowie na deskach teatralnych to byli jéj krewni i dobrze znajomi. Ona nieraz w marzeniu odgrywała podobne role, była królową i księżniczką, wiała się z boleści pod wrażeniem jakiegoś urojonego nieszczęścia! Wszystko to przechodziła ona już w marzeniach!

Otóż widok teatru rozognił jéj wyobraźnię. Czuła jakąś rozkosz niewysłowioną, gdyby mogła choć kilka chwil w strojach bogatych być księżną, markizą albo hrabiną! A cóżby dała za to, gdyby choć raz jako Marya Stuart przeszła przez scenę! Nawet rolą Elżbiety nie wzgardziłaby, bo miała dosyć dumy, aby tę postać monarchini oddać!

W tym to czasie wzięła nawet z biblioteczki starego pedagoga kilka utworów scenicznych i pilnie studyowała role bohatererek a nawet w samotnéj izdebce próbowała w nich swego talentu.

Po kolei więc przechodziła królowe, księżniczki, hrabiny, kokietki i intrygantki, i wszystko jakoś udawało się jéj wybornie! Sama nie wierzyła sobie, że tém wszystkiém być mogła!

Byłoby nader prostą rzeczą, gdyby była poświęciła się temu zawodowi. Miała wszelkie warunki do tego. Ale babunia zganiła jéj taki zawód jako niegodny jéj urodzenia i Paulina została znowu sama, to jest: została z gorącym marzeniem swoim, i zimnym dojmującym ubóstwem.

Do rzeczywiściech zaś epizodów jéj życia, należały dwa zdarzenia.

Były to zdarzenia zwykłe, codzienne, bez żadnego prawie znaczenia, ale dla niéj nie były bez wpływu.

Pewnego dnia przyjechał do miasta jakiś młody człowiek z długimi włosami i miał z sobą dużą tekę. Zajechał do oberży, która była naprzeciw domu Gewontowój. Oberża ta miała szerokie podcienie, gdzie ten młody człowiek z długimi włosami zwykł siadywać.

Zrazu patrzył tylko ztamtąd po starych domach i gzem-sach i w tece swojej rysował; potem obaczył Paulinę naprzeciwległém podcieniu i już więcej nie patrzył na dachy, tylko wprost na nią.

Paulina widziała to i było to jój bardzo przyjemném. Wyniosła sobie jakąś robótkę na podcienie, usiadła i od czasu do czasu przymuskiwała włosy, które jój na oczy spadały.

Nieznajomy patrzył na nią nieustannie. Kilka razy nawet wstawał i nieznacznie ukośną linią zbliżał się do nićj. Przechodził po pod dom tam i napowrót ciągle na nią patrząc.

Babunia obaczyła nieznajomego chodzącego jakby na sztyldwach i odwołała wnuczkę.

— Czego babunia żąda?—zapytała Paulina kończąc ostatni ścieg robótki.

— Bo tak siedzieć jak na wystawie nie przystoi!—odpowiedziała babunia.

— Dla kogoż siedziałam jak na wystawie, kochana babuniu?

— Jużci nie dla mnie ani dla Moszka, ale dla tego co tam chodzi w zad i wprzód!

— Cóż w tém jest złego?

— W tém może nie być nic złego, ale mamy zawsze wkoło siebie największego nieprzyjaciela, dla którego wiele rzeczy czynić musimy. Jest to opinia publiczna!

— Opinia publiczna! powtórzyła Paulina i zamyśliła się.

Po chwili rozżarzyły się jój oczy, uśmiechnęła się z gorczyzą i rzekła:

— Opinia publiczna... Czyż ta opinia nie przeszkadza nam czasem do naszego szczęścia?

— Być może— odpowiedziała spokojnie babunia— ale kobieta tego co jest, zmienić nie może!

Paulina odeszła do swojej izdebki i długo o tém myślała.

A gdy nazajutrz rano ukradkiem, aby babunia nie wiedziała, na podcienie oberży spójrzała, nieznajomego już tam nie było: nad rankiem wyjechał z miasta, jak jęj o tém doniósł faktor.

I przeszła jęj myśl przez główkę: kto wie, czyby nie było lepiej, gdybym na babunię i opinię nie była słuchała, tylko na podcieniu została? Możeby się zbliżył, może...

Drugie zdarzenie różniło się już więcćj od pierwszego, i głębięj wbiło się w jęj pamięć.

Było to jakoś zaraz po odjeździe Stefusia do miasta obwodowego. Stefuś znowu był obojętny, zaledwie kilka słów do nięj przemówił. Paulina płakała trochę i przysięgła sobie nie myśleć więcćj o nim.

Prawie tego samego dnia, zaraz po téj przysiedze przyjechał jakiś wysmukły blondyn o bladęj twarzy do miasta. Najął sobie mieszkanie w oberży, izdebkę wysłał dywanami i powiedział faktorowi, że chce tutaj brać kąpiele rzeczne. Do tego oświadczenia dołączył suty tryngeld a faktor za to co tchu obiegił całe miasto, opowiadając co wiedział i czego nie wiedział.

Wiadomość ta doszła i do Pauliny. Zaledwie na podcienie wyszła, już blondyn jakby czekał na nią rozparty na przeciwnęj stronie. Z całej jego postaci było widać, że to pan jakiś wielki.

Paulina kilka razy wyszła na podcienie i patrzała na nieznajomego.

Za kilka dni przyniósł jęj faktor mały wyperfumowany bilecik. Paulina z bijacém sercem rozdarła pieczętkę i wyczytała jednym tchem dwieście jak najpiękniejszych i najśodszych słówek.

Nieznajomy pisał jęj, że na pierwszy rzut oka pokochał ją, że odtąd nie ma pokoju we dnie i w nocy; że mu ciągle stoi przed oczyma i dopóty nie przyjdzie do siebie, dopóki z nią choć kilka słów nie pomówi. Przeto prosił usilnie o wyznaczenie miejsca i godziny i t. d.

Gdy Paulina ten list przeczytała, pobiegła wieczorem do babuni i jęj o wszystkiém powiedziała.

Babunia spokojnie odczytała list, pomyślała chwilę a potem rzekła:

— Dobrze moje dziecię. Jeżeli cię kocha, to ja zaproszę go do nas. Podaj mi ćwiartkę papieru.

Paulina podała papier a babunia napisała krótko do nieznajomego, że za godzinę czeka go wraz z wnuczką swoją na filiżankę kawy.

Faktor pobiegł z listem, ale nieznajomy na kawę nie przyszedł; a na drugi dzień nawet o kąpielach rzecznych zapomniał, tylko spakował manatki i z Pauem Bogiem wyjechał.

— Źle się stało, że babunia odpisała, — rzekła zachmurzona Paulina.

— A jakże się inaczej stać mogło, moje dziecię? — zapytała babunia.

— Możeby lepiej było, gdybym ja sama tę rzecz w swoje ręce wzięła...

— Być może, ale widzisz serce, tak każe obyczaj!

— Obyczaj! — odrzekła z lekkim kaprysem Paulina — czyż ten obyczaj nie staje nam czasem w drodze?

— I to być może, ale widzisz serce, obyczaju narażać na chybił trafił nie można. W najlepszym razie jest to zawsze gra w loteryą; można wygrać, ale można wszystko przegrać!

— Zawsze babuniu ten co gra ma nadzieję wygrania, a ten co nic nie stawia, nie ma nigdy żadnej nadziei!

Babunia na to jakoś nic nie odpowiedziała, a Paulina wróciła do dawnych swoich marzeń. Marzyła naprzemian to o herbie Radziwiłłów, to o Stefusiu i możliwych skutkach broszki.

(Dalszy ciąg nastąpi).

